

Teatr

Biesy się schodzą

PIOTR GRUSZCZYŃSKI

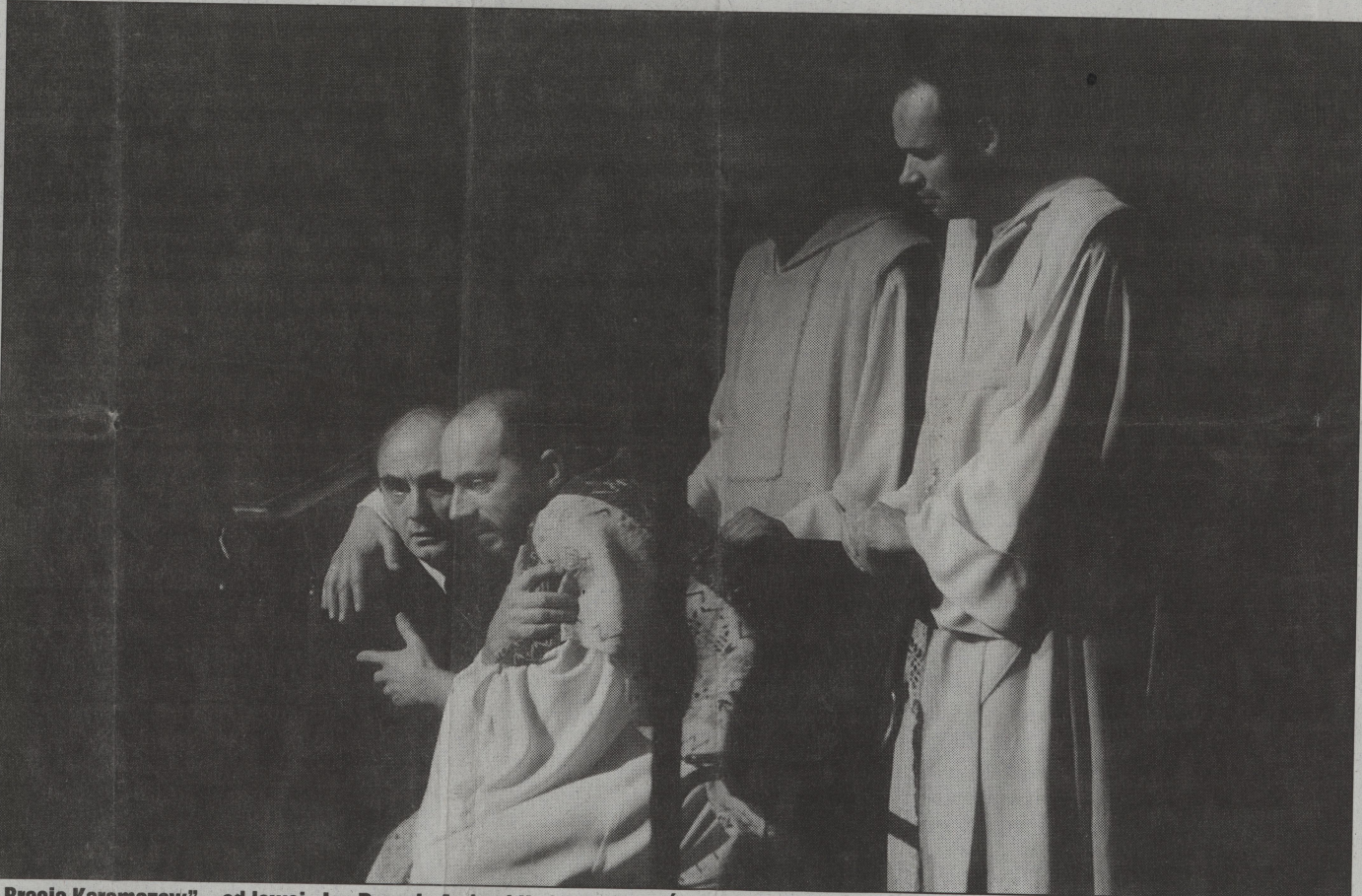
■ Świat „Braci Karamazow” dotknięty został rakiem zwątpienia, popchnięto go ku samozniszczeniu i zdaje się, że nie go nie może już zatrzymać. Nie nastąpiły cudowne uzdrowienia, których spodziewano się po Zosimie, woda nie przemieniła się w wino w chwili jego śmierci. Zamiast cudu zjawi się Szatan.

Minęło już prawie 10 lat od premiery „Braci Karamazow”. W kwietniu 1990 roku przechodzącego przez scenę Aloszę zatrzymało pytanie: „Ty ktoś jest?”. Krystian Lupa nie był jeszcze wówczas reżyserem „Kalkwerku” i „Lunatyków” – arcydzieł, które zapewniły mu niekwestionowaną pozycję w polskim i europejskim teatrze. Dopiero konstruował swoje teatralne królestwo, odrębny świat, odrębny język i właściwą dla niego poetykę. Recenzenci teatralni wciąż nieufnie badali ten teatr, nie do końca wierząc w jego wysoką rangę. (Ci mali duchem i rozumem nie wierzą do dziś.) Zwracali uwagę przede wszystkim na długość przedstawień (wielogodzinne traktaty wystawiane nawet w dwa wieczory), chętnie czyniąc z niej temat złośliwych anegdot. Grudniowe wznowienie „Braci”, będące wynikiem kaprysu zamożnych Francuzów, którzy pokochali Lupa po występach z „Lunatykami” na Festiwalu Jesiennym w Paryżu i zapragnęli oglądać go znowu, bez wahania nazwę teatralnym cudem.

Nie wiem, jak zabrać się do pisania o nowych „Braciach”. Niby to wznowienie, ale jakby premiera, bo przecież po tylu latach przerwy (spektakl był mało grany!) wszystko musiało ułożyć się od nowa. Twórcy spektaklu mocno wydorosleli, starszy o 10 lat reżyser i aktorzy siłą rzeczy wyożyli we wznowione przedstawienie całą swoją mądrość i doświadczenie, które przyniosły ich późniejsze prace i, banalnie, życie. Dorosłość wyszła „Braciom” na dobre. Spektakl nabral niebywałej siły i spójności, powagi. Lupa nie zmienił obsady przedstawienia. Jedyne **Małgorzata Hajewska-Krzysztofik** grająca Fienię, służącą Gruszy, zyskała dublerkę w obsadzie – **Lidię Dudę**. Pozostali aktorzy powrócili do swych ról, jak do rzeki, która zdążyła jednak zmienić już swój nurt i bieg.

Pozornie wszystko jest niemal tak samo, jak na premierze. Tylko kostiumy i dekoracje uległy modyfikacjom. Ale nie poza tym: ci sami aktorzy, ta sama adaptacja, muzyka, kolejność scen. Jedna rzecz tylko zupełnie inna: publiczność, która tak samo jak aktorzy dorosła do tego przedstawienia. Dziwne, ale wydaje mi się, że dzisiaj ten spektakl jest nam o wiele bardziej potrzebny niż dekadę temu. Dlaczego? Wtedy dopiero wszystko się zaczynało, „wszystko jutro”, „wszystko dozwolone”. Dyskusje braci, w których wzajemnie się odzwierciedlają, miłości trzech kobiet: Katarzyny, Gruszy i Lise, pokazujące trzy modele kochania i ofiarowania, wreszcie zamordowanie starego Fiodora Karamazowa, to wszystko było jakieś odległe, bardziej obce i literackie. Teraz, kiedy poznaliśmy już smak i brzmienie duchowej pustki, świat „Braci Karamazow” stał się niemal namacalnie bliski. „Jest Bóg, czy go nie ma?” – pytanie, które zadaje Iwan Diabłu, nerwowe i obsesowe, jest pytaniem, które chcielibyśmy zadać sami, tylko nie mamy komu. Diabeł, który krąży wokół nas nie jest ani tak malowniczy, ani tak ciekawy, jak ten z powieści Dostojewskiego. Jak wszystko, dość obły i nieinteresujący. Nie budzi emocji, co jest rzeczą jasną jego kolejnym nad nami zwycięstwem. Zdaje się, że powoli wszyscy stajemy u progu wielkiego zapalenia mózgu, które ponoć było przyczyną halucynacji Iwana Karamazowa. Być może wkrótce będziemy „tak zwaną ludzkością w obłądzeniu. Zresztą, tak zwaną ludzkością jesteśmy już dziś. Obłąd mógłby nas oczyścić, uratować.

Lupa nie rozstrzyga w swoim przedstawieniu, kto zabił Fiodora Karamazowa. Pomija też cały wątek śledztwa i procesu w sprawie morderstwa. W jego przedstawieniu wszyscy są mordercami, ojczobójcami. Wina przenosi się także na widzów. Odczuwa się to bardzo dotkliwie. Nie jesteśmy nieskazitelni, nie jesteśmy lepsi od Fiodora, tego starego błazna, próbującego zakpić ze wszystkich świętości, ale właśnie dlatego pragniemy jego śmierci. Tak samo jak Iwan, który chciałby, żeby ojca zabiło, byle on sam nie dowiedział się o tym, byle mógł umyć ręce od czynu, którego tak bardzo pragnie. Czy jesteśmy w czymkolwiek lepsi lub mądrzejsi od starego Karamazowa? Raczej nie i właśnie dlatego pragniemy jego śmierci. Lupa czyni nas ojczobójcami. Przez osiem godzin stajemy się współuczestnikami, a nie je-



FOT. MAREK GARDULSKI

„Bracia Karamazow” – od lewej: Jan Peszek, Andrzej Hudziak, Jerzy Świąch i Paweł Miśkiewicz

dynie widzami tragedii. Zaczynamy pograżać się w niej jak Iwan w swojej diabelskiej halucynacji. Złapani w pułapkę sumienia, przyłapani na braku miłości i zdolności do ofiarowania.

LABORATORIUM DUSZY

Scenę wypełnia przezroczysty pokój. Laboratorium pracy psychologicznej aktorów, przestrzeń częściowo oddzielona od widzów, mroczna klatka dla instynktów. Pokój można przesuwac w przód i w tył, pozostawiając do dyspozycji aktorów obszerne proscenium lub zaszcenie, gdzie kłębią się w ciemności niewyraźne postacie. Aktorzy schodzą z góry, zza pleców widzów i pojawiają się przechodząc przez drzwi prowadzące do pokoju. Niezależnie od kierunku, z którego przychodzą, decyzja wkroczenia na scenę jest decyzją ostateczną i nieodwracalną. Laboratorium duszy pracuje bowiem pełną parą. Ktokolwiek znajdzie się w tej przestrzeni, podany zostanie przykreemu, lecz skutecznemu drenażowi emocji i myśli, inni wydobędą z niego to, czego się najbardziej boi, co skryć nie może przed sobą samym. W pokoju oglądamy ojca Zosimę, tam zginie stary Karamazow. W pokoju będzie leżał cuchnący trup świętego starca i wyglądające jak martwy Chrystus zwłoki Fiodora Karamazowa. Będziemy mogli nawet zobaczyć, jak z Fiodora ulatuje dusza do nieba. Manierą malarzy ikon z martwego ciała przez usta ku niebu wzniesie się sporej wielkości świetlista kula. W pokoju wreszcie odbędzie się rozmowa Iwana z Diabłem i tam pojawią się wszystkie postacie w potężnie brzmiącym „Et resurrexit” z Bachowskiej Mszy h-moll. Tam uczucie Gruszy i Lise szarpie się ze swoimi namietnościami. Tam przeżywa swoje upokorzenie Katarzyna Iwanowna.

Proscenium jest miejscem spokojniejszym, wolnym od nieludzkich napięć przezroczystego pokoju. Z boku, przy małym stole Iwan będzie rozmawiał z Aloszą. Rozmowa nad talerzem zupy trwa niemal pół godziny. Iwan powiada się ze swojego załamania, ze swojego zwątpienia. Zaszczepia zwątpienie Aloszy, który niedługo potem zażąda wódki i kielbasy po śmierci starego Zosimy. Trwa nieustanne budowanie umownych konstrukcji, które mają zamaskować głębokie zwątpienie w dobro samego Boga. Iwan twierdzi, że nie buntuje się przeciwko Bogu, tylko przeciwko światu, który Bóg stworzył. Alosza powtórzy te słowa jak najlepszy uczeń. Przyznanie się do zwątpienia w Boga postawiłoby wszystkich w jednym szeregu z cynicznym Fiodorem, tym starcem strojącym się w czerwony szlafrok na przyjęcie pięknej Gruszy, starcem w czerwieni ukrytym za czerwonym parawanem w chińskie smoki. Ze zwątpieniem trzeba walczyć, ale Iwan tę walkę przegrywa. Jest przecież jeszcze Smierdiakow (gra go **Piotr Skiba**, który potem wcieli się w postać **Diabła**), ohdny, śliski i lepki, który całkowicie trzyma w garści Iwana, jego reakcje i emocje, szantażuje go swoją przewidywalną epilepsją. Z pozoru Smierdiakow jest sprzymierzeńcem Iwana, ale przecież Iwan musi Smierdiakowa nienawidzić. Czy w ogóle można zresztą mieć w tym świecie sprzymierzeńców? Iwan też nie może być niczym. Nawet Alosza, ów święty naiwny, na naszych oczach utraci swą niepokalaną.

RAK ZWĄTPIENIA

„Bracia Karamazow” są jak wielki panoramiczny obraz, w którym liczą się jedynie portrety wyobrażonych na nim ludzi. Lupa odarł tekst Dostojewskiego z rodzajowości. Wypreparował miejsce ak-

cji z jakichkolwiek odniesień do rzeczywistości. Rzecz może się dziać zawsze i wszędzie. Przykroił powieść tak, by adaptacja nie skupiała uwagi na przebiegu zdarzeń i logice ciągu przyczynowo-skutkowego. Ostentacyjnie pominął „kultowe” fragmenty powieści, jak choćby Poemat o Inkwizytorze, z którego zatrzymał tylko jedno zdanie. Urywa spektakl na rozmowie Iwana z Diabłem, nie dając nawet szansy widzom, by usłyszeli zapowiadaną przez Diabła wiadomość przynieszoną przez Aloszę, wiadomość bardzo oczekiwaną. Nie dowiemy się już o tym, że Smierdiakow popełnił samobójstwo. Zamiast tego Iwan otworzy okno, umieszczone jak zawsze u Lupy z lewej strony w głębi sceny, jak na obrazach Vermeera. Zza okna wpada smuga światła. Chcielibym, żeby to światło oznaczało zbawienie, żeby jeszcze raz, w finale zabrzmiało „Et resurrexit”, które nadałoby jednoznaczną wymowę całości spektaklu, by ktoś powiedział „Dziewczynko wstań”. Ośmiogodzienne spotkanie z Lupa budzi bowiem wielką potrzebę nadziei, odzyskania wiary, pokonania zwątpienia. Skoro już ponownie uświadomiono nam, że posiadamy duszę, chcielibyśmy znaleźć ratunek dla niej. Jedyna nadzieja w smudze światła zza okna.

Każdy z bohaterów spektaklu przechodzi przez swoje piekło zwątpienia. Z różną gwałtownością i różną ekspresją, uzależnając ją od temperamentu i gotowości do uczuciowej ekshibicji. Dymitr ciska się po scenie niewyraźnie bełkocząc, Lise przykuta do wózka wstrząsają straszne paroksyzmy, jakby w jej ciele dochodziło do wyładowań elektrycznych. Iwan gryzie w sobie narastającą niechęć do siebie samego, Alosza staje się coraz bardziej bezradny. Świat „Braci Karamazow” dotknięty został rakiem zwątpienia, po-

chnięto go ku samozniszczeniu i zdaje się, że nie go nie może już zatrzymać. Nie będzie żadnego cudu. Nie nastąpiły cudowne uzdrowienia, których spodziewano się po Zosimie, woda nie przemieniła się w wino w chwili jego śmierci. Zamiast cudu zjawi się Szatan. Osobiście. Nacalnie i banalnie. Finałowa scena jest najwspanialsza w całym spektaklu i należy do najpiękniejszych, jakie kiedykolwiek widziałem w teatrze. Szatan zjawia się na podłodze w opustoszałym pokoju. Ubrany jedynie w brudną koldrę z radością wita wszystkich przeciwników namysłu i powagi.

Oglądając „Braci Karamazow”, miałem uczucie obcowania ze zgromadzeniem biesów, od samego początku, kiedy Fiodor Karamazow prowadzi Iwana i Miusowa do pustelni Zosimy. Biesy się schodzą powoli, ale kiedy już zapanują nad sceną nie da się ich wypędzić. Nikt nie jest w stanie dokonać stosownych egzorcyzmów. Pozostajemy we władzy zła.

NARZĘDZIE POZNANIA

Intensywność tego przedstawienia nie byłaby możliwa bez wspaniałej, zespołowej gry aktorów. Rzadko w teatrze można zobaczyć taką mobilizację aktorów i gotowość do wykonania teatralnego zadania. Wejście na scenę oznacza zerwanie z prywatnością, z aktorskim sprytem i cwaniactwem. Żadnych grepsów czy „grania”, tu wszystko się wyda i zabrzmi fałszywie niszcząc dzieło. **Piotr Skiba** w podwójnej roli Smierdiakowa i Diabła osiąga absolutne

wyżyny kunsztu aktorskiego. Przeraża. Podobnie **Jan Frycz**, mądrzejszy w stosunku do prapremiery „Braci” o rolę w „Lunatykach”, zadziwia umiejętnością prowadzenia teatralnego dyskursu. **Jan Peszek** w roli ojca Karamazowa przypomina o wszystkich swoich niebywałych możliwościach aktorskich. Znakomite postaci trzech kobiet fatalnie uwikłanych w związku z Karamazowymi tworzą: **Agnieszka Mandat** (Katarzyna Iwanowna), **Katarzyna Gniewkowska** (Grusza) i **Beata Fudalej** (Lise). Świetnie spisują się aktorzy drugiego planu: **Maria Zającówna-Radwan** jako wścibska, głupia i groźna pani Chochłaków i **Marek Kalita** w roli demonicznego sędziego śledczego Miusowa. Siły brakuje jeszcze **Pawłowi Miśkiewiczowi** grającemu Aloszę i **Andrzejowi Hudziakowi** w arcytrudnej roli świętego starca Zosimy, ale najmniej przekonująco wypada **Zbigniew Ruciński** w roli Dymitra Karamazow. Jego aktorska słabość (właśnie w tym scenicznym bytowaniu najwięcej jest teatru, a najmniej człowieka) chwieje konstrukcją spektaklu, w którym każdy z braci powinien być tak samo mocną osobowością, by rodzinny konflikt nabral właściwej siły. Ale wspomniana już ostatnia scena Skiba – Frycz, Szatan – Iwan, tuszuje wszystkie wcześniejsze niedomagania pozostawiając widzów w pełnym dreszczy osłupieniu.

Metoda pracy Krystiana Lupy oparta na poważnym traktowaniu tekstu, teatru, aktorów i widzów przynosi niezwykle efekty. Teatr w rękach Lupy jest narzędziem poznania. To chyba zresztą podstawowa funkcja teatru, o czym większość twórców zapomina tonąc w zdziwieniu gaworzeniu. Bieda tym, którzy mają odwagę to zlekceważyć. Są już po stronie Diabła, który zawinięty w brudną koldrę z radością wita wszystkich przeciwników namysłu i powagi.

Oglądając „Braci Karamazow”, miałem uczucie obcowania ze zgromadzeniem biesów, od samego początku, kiedy Fiodor Karamazow prowadzi Iwana i Miusowa do pustelni Zosimy. Biesy się schodzą powoli, ale kiedy już zapanują nad sceną nie da się ich wypędzić. Nikt nie jest w stanie dokonać stosownych egzorcyzmów. Pozostajemy we władzy zła.

FIODOR DOSTOJEWSKI, „BRACIA KARAMAZOW”, adaptacja, reżyseria i scenografia KRYSZTOF LUPA, muzyka i opracowanie muzyczne Stanisław Radwan, premiera w Starym Teatrze w Krakowie 19 i 20 grudnia 1990, wznowienie 18 i 19 grudnia 1999.

PS. Po wznowieniu „Braci Karamazow” na miejscu Jerzego Koeniga – dyrektora Starego Teatru zrobiłbym wszystko, żeby doprowadzić do powrotu Krystiana Lupy do teatru, z którym przed rokiem zerwał współpracę. Nawet za cenę utworzenia osobnego Teatru Krystiana Lupy przy Starym Teatrze w Krakowie, z oddaniem artystyce Sceny Kameralnej przy Starowiślniej włącznie. Jeśli do tego nie dojdzie, w naszym życiu teatralnym przestaną się zdarzać cuda i woda w kuble nigdy nie przemieni się w wino, tak jak w zmierzającym ku zagładzie świecie „Braci Karamazow”. Spektakl Lupy jest wielką fulguracją, pokazuje kulminacyjny moment wielkiego kryzysu duchowego. Dopiero po przejściu przez piekło można myśleć o odkupieniu. Chyba że na drodze staną próżność i głupota. Wtedy z piekła się nie wydzie nigdy.